

Czy Anatol France miał rację?

Aż dziw człowieka ogarnia, gdy obserwuje niepokojącą ciszę u nas w okresie, w którym na posiedzeniach komisji prawnych w Warszawie formuje się kształt przyszłego sądownictwa administracyjnego. A przecież to ostatnie nie wkracza w sferę niemal codziennego życia. W procesach cywilnych i kryminalnych zdarzy się poniekąd obywatelom wziąć udział jeden tylko raz w życiu. Tymczasem z władzami i urzędami administracyjnymi mamy „szczęście” spotykać się na każdym prawie kroku. Musimy się nie raz uporać z setkami tzw. spraw urzędowych. A gdzie dokonuje się obrządku załatwiania „spraw” według starego rytuału urzędowego, tam — naturalnym porządkiem rzeczy — powstają mogą i muszą różnice pojmowań, zdań, ocen i osądów.

Wkraczamy w okres nowy, wymagający wielkich wysiłków. Ich skuteczność w poważnym stopniu uzależniona jest od kontroli. Nie ma przekonujących powodów po to, aby spod takiej kontroli wydzielić terenowe organy tej noliwej władzy państwowej. Przeciwnie — wydaje się, że nasz obecny Sejm nie rezygnuje z zapewnienia sobie konkretnych możliwości kontrolnych.

Może za pomocą swego specjalnego organu — najwyższej Izby Kontroli? To byłaby jedna strona medalu. A druga? Otóż obywatel zainteresowany jest w tym, aby w państwie istniała ponadto instytucja, która on sam mógłby wprawić w ruch w przypadku, gdy jego takie czy inne prawo zostanie — według jego mniemania — naruszone przez organa administracji publicznej.

Pojawianie się konfliktów pomiędzy interesem obywatela i państwa (ściślej — urzędu państwowego), jak uczy doświadczenie, nie często bywa faktem. Do złudzeń trzeba zaliczyć mniemanie, że unika się takich „spieków” w ustroju demokratycznym. Żadna demokracja społeczna tych zjawisk nie eliminuje. Przeciwnie, nie zawsze jakiś konkretny aparat administracji w określonej sprawie realizuje jak najwierniej intencje prawodawcy państwa. Te odchyleń — to zjawiska chyba nieuniknione. Chodzi więc o to, by ograniczyć ich szkodliwość i tendencje ku rozszerzaniu się.

Dotychczasowe środki postawione do dyspozycji obywatela nie dają najlepszych rezultatów. Instytucja skarg i zażaleń z wodzi. Biura te zawalone są zażaleniami, które celem rozpatrzenia, najczęściej wracają do tej instytucji, na którą została złożona skarga. Ogólny nadzór prokuratorski, nie sprzyjający dokładniej, w praktyce ze zmienną funkcją naje powodziem. Problem kontroli rad przez samych wyborców — pozostaje u nas na dal w stanie nieporozumienia. Na kontroli sprawowanej przez najwyższe zwierzchnictwo narodu — Sejm, poprzestać nie można. A więc — kontrola sądowa.

Sęk jednak w tym, jaka ma być jego forma i organizacja. Jaki zakres działania? Kto ma w nim dzierżyć sędziowskie insygnia?

Niepodobna wyrecytować jednym tchem jakiegoś uniwersalnego rozwiązania. Z mnogości zdań i poglądów dominują — jak się zdaje — trzy.

Funkcje kontrolne może sprawować dotychczasowe sądownictwo powszechne — głoszą deklaracje jednych. Druga teza wychodzi z zupełnie odmiennych założeń i

głosi, że powstające między obywatelami a aparatem administracji publicznej spory winny być rozstrzygane w tymże samym — administracyjnym — „pionie” i „trybie”. Jest też trzeci pogląd — kompromisowy: sprawy takie winny rozpatrywać Najwyższy Trybunał Administracyjny. Te ostatnie sugestie wydają się chyba najtrafniejsze.

NTA — to niejako aliaż czynnik sądowy z administracyjnym. Wymierzanie sprawiedliwości spoczywałoby bowiem w rękach zawodowych sędziów powszechnych oraz sędziów administracyjnych, wywodzących się spośród wybitnych, odpowiednio wykształconych i doświadczonych pracowników administracji publicznej. Trybunał taki nie stałby więc jakiegoś ogniwem sądownictwa ogólnego. Nie ma też cech organu wyłącznie administracyjnego. To sąd spe-

Miedzy urzędem a obywatelem

cialny. Czy są obawy przed tego rodzaju sądami? Owszem, trafiają się. Jest w obiegu opinia, że sądownictwo specjalne nie powinno się rozwijać. Sympatycy tego zdania powołują się nawet na... Anatola France'a, który w swej „Historii współczesnej” pisał, że „każde sądownictwo specjalne jest sprzeczne z zasadami nowoczesnego państwa...”. Ponadto, że — na przykład w takich państwach jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone — obowiązki „rewizora” administracji z doskonałym powodzeniem pełnią sądy ogólne. Nie neguję. Dla pełności obrazu dodaję, że w r. 1816 sądy w USA nawet zdobyły sobie prawo do orzekania o zgodności aktów prawodawczych z konstytucją. Ale jeśli już obracamy się w orbicie krajów Zachodu, to nie pomijajmy również tego faktu, że odrębne sądownictwo administracyjne uzyskało prawo obywatelstwa w takich państwach, jak Francja, Niemcy i Austria. Naszym projektantom NTA wzory

austriackie się przydały. Różnorodnych sądów specjalnych w istocie nie warto zbytnio reklamować, jednakże NTA zajmować może pozycję wyjątkową.

Idea sądowej kontroli nad działalnością administracji publicznej — musi sobie u nas torować dopiero drogę. W ciągu lat powojennych przeważało wszak przekonanie o prymacie administracji publicznej nad sądownictwem ogólnym. Te skłonności znalazły swe realne odbicie w patrystycznym stanowisku rad narodowych w stosunku do hierarchicznie równych instancji sądowych (sądy mają składać radom okresowo sprawozdania ze swej pracy). Nie przeczę, że u podłoża tego patronatu tkwi myśl demokratyczna. Ale ona w jakiś nie zamierzony sposób przyciemnia również ważną ideę prerogatyw sądów w odniesieniu do administracji. A więc wróćmy do NTA.

Ale oto zaraz wiele spraw domaga się rozwikłania. Np. rekrutacja sił fachowych. Powołanie NTA musiałoby poprzedzać od powiednia zmiana Konstytucji. Za stanowić by się też trzeba nad niższymi — wojewódzkimi — stopniami sądownictwa administracyjnego. To zagadnienie miało być również sprecyzowane. Do wybuchu wojny w 1939 r. nie zdołano tego uczynić. Prawdopodobnie sądownictwo administracyjne bez instancji wojewódzkiej — nie spełniałoby swego głównego zadania.

Najwyższy Trybunał Administracyjny nie był tworem pod każdym względem idealnym. Miał swe wady. Zbudować więc trzeba byłoby go na bardziej przystosowanych zasadach, udoskonalając jego pracę i zmodyfikować w nim procedurę. Dość zasadnicze znaczenie miałyby tu jeszcze kwestia pod porządkowania NTA w hierarchii państwowej. Ministrowi? Ktośremu? Radzie Państwa? Czy Sejmowi? A może właśnie Sejmowi — najwyższemu mu suwerenowi narodu? Warto nad tym pomyśleć. W każdym razie instytucja tego typu jest z pewnością potrzebna.

Leopold STECKI

Aleksander Wojciechowski

PORY

Ewie

smutne twarze pluskiewkami do tapety
roztopiają się ręce białe
śnieg krople błyszczące

można ust nie pamiętać
i kochać pory mijania

porę mroku
w której śpiące królowe
są zmęczonymi ludźmi

porę zabawy
gdzie wskazówki odmawiają postuszeństwa
i są raz wykrzyknikami
a raz znakami zapytania
postawionymi przez pijanego zecera
po zdaniu twierdzącym

i wreszcie
porę miłości
w której
cała składnia traci sens

MAŁE STACJE

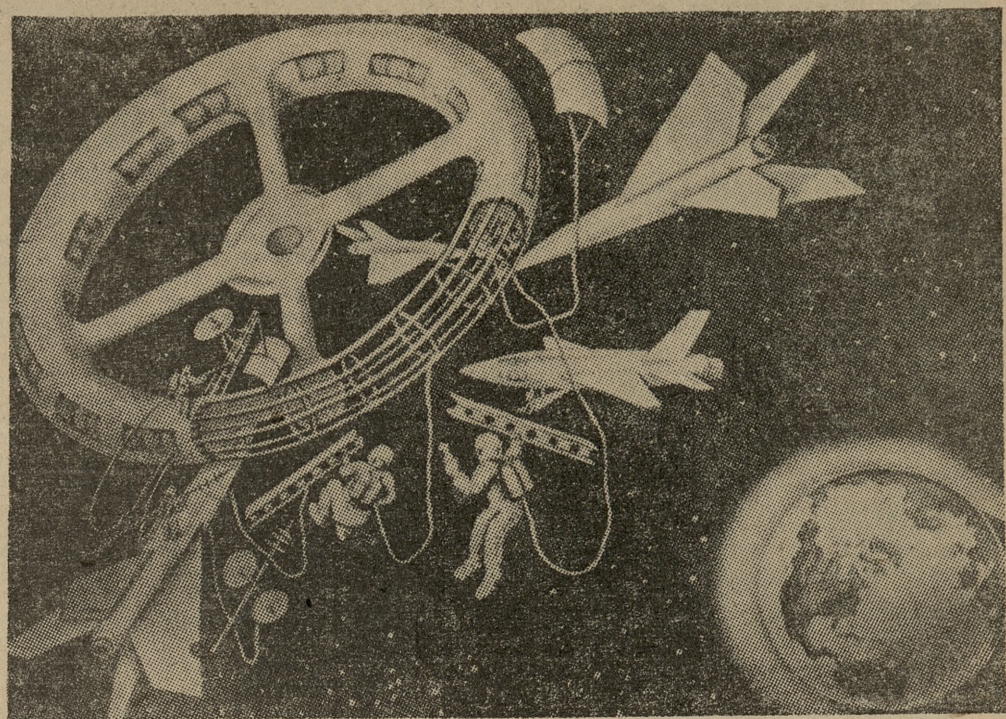
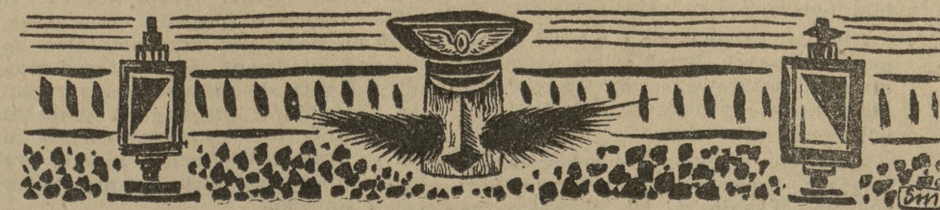
Małe stacje
są jak muszle ślimaków
dla których rok
to prawie pół wieczności

Mackami kopających latarni
witają zabiłanego pasażera
któremu kasjer o twarzy pomarszczonego
sprzedaje kartonowe serce

Małym stacjom
śnią się wielkie szlaki — —
A tymczasem tynk odpada — —
W deszczach rozplywa się napis — —

Małe stacje
mają wielkie nadzieje
i umierają jak ptaki

gdyby mi teraz
z pochmurnego nieba
sukiewka z pieniędzmi pod nogi upadła
kupiłbym żabie pletwy zielone
i tomik wierszy Ronsarda



Perspektywy roku 2000 nie dają spokojnie spać uczonym i fantantom. O tych drugich wiemy wiele — chcą lecieć do innych układów słonecznych. Co jednak czeka nas na Ziemi? Przecież wielu, czytających te słowa, będzie witało rok 2000 w pełni sił!

Otóż uczeni są zgodni, że za 42 lata ludność Ziemi wzrośnie do 5 miliardów (obecnie żyje nas około 2,7 miliarda).

Przewidywania te są oparte na porównywaniu tempa podwojania się ludności świata: przed 10 000 lat żyło na świecie około 10 milionów ludzi; po upływie 2500 lat było już 20 milionów ludzi, następne podwojenie nastąpiło po upływie dalszych 2000 lat, a trzecie — po 1500 latach. Po upływie następnego tysiąca lat ludność Ziemi wynosiła już około 160 milionów. Ośme podwojenie nastąpiło w latach 1850—1950, a więc — wymagało tylko 100 lat!

Czy wystarczy żywności?

Kłopotów z wyżywieniem tej ilości ludzi raczej nie będzie; nawet przy założeniu, że przeciętna spożycia znacznie wzrosną — dostatek mięsa, zbóż, tłuszczów, owoców, jarzyn, jest zapewniony. Warunek: do rolnictwa zostaną wprowadzone wszelkie osiągnięcia agrotechniki i agrokultury.

Na przykład obecnie wysiewa się tylko 10 proc. tej ilości nawozów sztucznych, którą ziemia mogłaby przyjąć. Dalej — 3 proc. wody ziemskich rzek, przeznaczonych na nawadnianie, dadzą wzrost plonów o około 50 proc.!

Nie sposób także pominąć wzrostu wydajności pracy w rolnictwie: w roku 1830 jeden farmer amerykański żywił 4 obywateli, w roku 1955 — już 20. W roku 2000 jeden pracownik rolnictwa powinien dostarczyć żywności co najmniej 40 ludziom. Nie wiadomo zresztą, czy nasz „tradycyjny” sposób odżywiania się nie zostanie uzupełniony innym, „skondensowanym”.

„Papu” — będzie, ale czy wystarczy pracy?

Problemy zatrudnienia czyli automatyzacja produkcji

Około miliard ludzi pracuje na świecie zawodowo; 60 proc. tej liczby — to robotnicy rolni lub chłopci. 200 milionów ludzi pracuje w przemyśle. Pozostałe 200 milionów — zatrudnia się w administracji i zawodach usługowych; (część z tej cyfry zawodowo lub z poboru jest w wojsku).

Ekonomiści przewidują zmiany w układzie zatrudnienia. Struktura krajów zacofanych zmienia się, przemieszczając się w kierunku, który widać w Chinach, Indii, Pakistanie prowadzą obryzmy budowie przemysłowej oraz irygacyjnej. Badania geologiczne w tych krajach dały wzrost zasobów surowcowych o ponad 60 proc. ogólnej ilości.

Olbrzymi wzrost ludności wymaga poważnych inwestycji: w ciągu 50 lat należy stworzyć warsztaty pracy dla co najmniej 200 milionów robotników przemysłowych! Zakłada się przy tym znaczny wzrost produkcji przez automatyzowanie nowych fabryk i unowocześnienie istniejących. 4 biliony dolarów pochłonią nowe inwestycje; 4 biliony dol. — unowocześnianie przemysłu.

800 milionów ludzi musi znaleźć zatrudnienie w zawodach nieprodukcyjnych; zakłada się, że wzrosną przede wszystkim ilość pracowników pomocniczych w takich dziedzinach, jak handel, kosmetyka, podróże, usługi kulturalne. Aby podoląć potrzebom przemysłu oraz wszelkich innych dziedzin, trzeba wykształcić 14 milionów inżynierów (obecnie pracuje w świecie zaledwie około 2,5 miliona).

Technika i chemia — wielka nadzieja ludzkości

Najważniejszym problemem jest zapewnienie ludzkości nowych źródeł energii. Problem ten rozwiąże wykorzystanie w pełni dla potrzeb pokojowych energii jądrowej i termojądrowej.

Jak w roku dwutysięcznym będzie wyglądała nasza łączność ze wszechświatem? Amerykański rysownik wyobraża sobie to tak, jak na rysunku u góry: ludzie ubrani w specjalne kostiumy, wysiadają z małych „indywidualnych” pocisków i na specjalnych międzygwiezdnych „przystankach” przesiadają się, aby kontynuować dalszy lot w Kosmosie. Fot.: „Associated Press”

ANNO DOMINI 2000

wej. Nie można przecież wiecznie liczyć na węgiel. Ostatnie prace fizyków dają już nadzieję, że jeszcze w bieżącym 10-leciu obawa braku energii zostanie usunięta w cień.

Walka o pogodę — to następny problem naszego wieku. Zarówno rozpraszanie, jak kumulowanie pary wodnej zostanie rozwiązane dzięki zbadaniu istoty zjawisk, rządzących pogodą, a zachodzących w jonosferze. Z czasem nauka opanuje tę trudną dziedzinę tak dalece, że potrafi wyeliminować straty, ponoszone obecnie na skutek żywiołów (np. susza czy nadmierne opady).

Wielka chemia przyniesie rozwiązanie problemu syntezy środków żywności — tłuszczów, cukrów, białek. Ponadto chemia wyeliminuje bawełnę, wełnę oraz futra naturalne, nie mówiąc już o budownictwie i wyposażeniu wnętrz naszych mieszkań, przedmiotach codziennego użytku itp.

Oczywiście — człowiek zwiedzi już nasz układ planetarny. Z zagadnień medycyny na czoło wysuwa się walka z chorobami serca, płuc, rakiem oraz ze starością. Higiena — sprzymierzeniec zdrowia psychicznego — stanie w centrum zainteresowań lekarzy i zwykłych ludzi. Jednym z problemów będzie stworzenie warunków do wychowania człowieka, poza ustrojem — w tzw. sztucznym łonie. Prym w próbach w tej dziedzinie wiodą Francuzi.

Również sprawy leczenia stanów psychopatycznych — obejmujących coraz więcej ludzi w społeczeństwach cywilizowanych — będą ważnym problemem, przed którym stanie medycyna przyszłości.

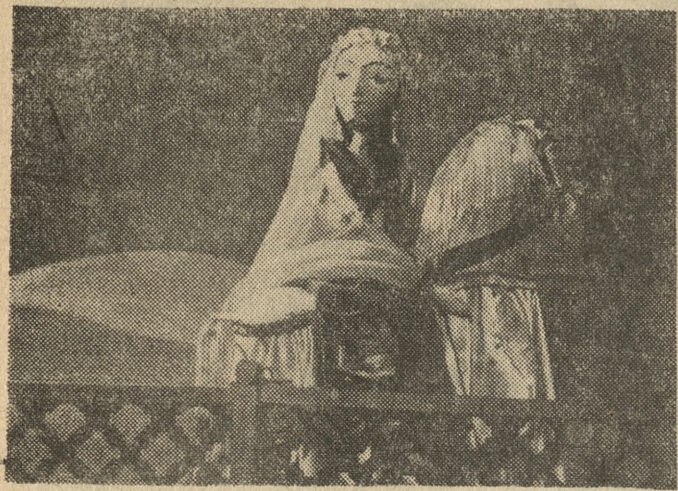
Nauka — bez zeszytu

Zapowiada się generalną walkę z brakiem wykształcenia ogólnego. Alfabetyzm wtórny i niedokształcenie ogólne — oto problemy stawiane przez oświatowców na pierwszym miejscu. Uważa się powszechnie, że jedynie jak najbardziej powszechny rozwój telewizji przyczyni się do rozwiązania tego problemu; bowiem ani środki pieniężne ani materiałowe, nie wystarczą do zabezpieczenia wzrastającej liczbie ludzi, odpowiedniej ilości szkół i tradycyjnych pomocy naukowych. Tę już obecnie prowadzi się próby w tym kierunku mianowicie przewiduje się powołanie — obok już istniejącego w Paryżu Światowego Uniwersytetu Radiowego — światowej szkoły telewizyjnej oraz uniwersytetu telewizyjnego. Proponuje się obecnie dwa języki: angielski i Esperanto...

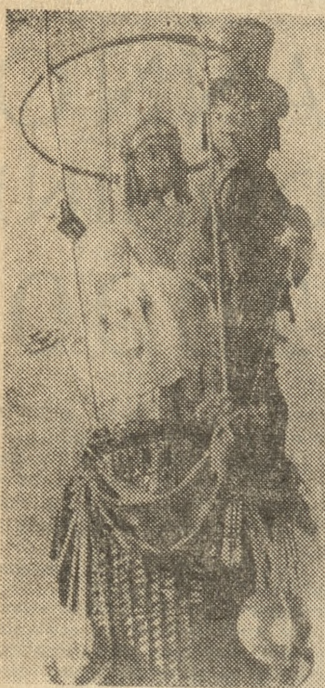
A zatem o naszą przyszłość nie powinniśmy się obawiać. Oczywiście — o ile ludzkość wyrzeknie się wojen. Wierzymy jednak, że rozsądek zwycięży.

Adam SZACKI

Za kulisami najmniejszych teatrów świata



Nasza poznańska „Baśń o pięknej Parysady”, wystawiana w „Marcinku”, cieszyła się wielkim powodzeniem małych i „dużych” widzów. Reżyseria — J. Piekarska; scenografia — J. Pikiel



„Baśń” opowiada o miłości „Pasterczki” i kominiarczyka (reżyseria i scenariusz Zbigniewa Korpalki)

Świtezianka stała jeszcze bez peruki, ale za to już spowita w srebrno-seledynowo-błękitne tiule. Herodowy żołnierz drzemał — zapominając o wszelkiej subordynacji — niedbale oparty o ścianę. Aniolki podpięły się smętnie opuszczonymi skrzydłami, pewnie zmęczone po ostatnim spektaklu, a piękna Parysada uśmiechała się do mnie z daleka, wystawiając głowę ponad stłoczoną gromadkę współtowarzyszy niedoli... ciasnego mieszkania.

W taki to właśnie sposób zawiąryłam znajomość ze wszystkimi bohaterami opowieści poznańskiego „Marcinka”, który — korzystając z uprzejmości dyr. Leszka Proroka — odsłonił mi swoje zakulisowe tajemnice. Wobec takiego gestu musiałam i ja być szczerą: przyznałam się do „Janka Wedrowniczka” znalazł dotąd tylko z opowiadań malutkiej kuzynekki, a „Baśń o pięknej Parysady” z... repertuaru rodzimej gazety.

W odpowiedzi usłyszałam po cieszącą, iż nie ja pierwsza i nie ja ostatnia błądząc, traktując sztukę kukiełkową, jako rozrywkę wyłącznie dla dzieci. A przecież krakowska „Groteska” z jej słynnymi w całym kraju ambicjami... a przecież np. niemiecki kukielkowy „Faust”... a przecież sam mistrz Sztudynger... Tak, tak, ten sam pan Jan „od frywolnych fraszek”. Jest on jedynym co prawda dotąd, ale za to nieustraszonego teoretykiem i propagatorem sztuki lalkarskiej, autorem książki pt. „Marionetki”.

Czy wiem, co to jest „Unim”? Hm... Znam „Unesco”... Aha — to co innego. Przepraszam.

„Unima” — jak cierpliwie wyjaśnia p. Prorok — jest starsza. 20 maja 1929 roku w teatrze „Rizze Loutek” w Pradze doszło do międzynarodowego spotkania lalkarzy i utworzenia ich organizacji. Pierwszym honorowym przewodniczącym wybrano p. Justina Godarta lalkarza — ministra Francji, pioniera współczesnego lalkarstwa i autora wielu związanych z tym prac. „Unima” miała pośredniczyć w kontaktach wszystkich ludzi teatru lalek, w nieniesieniu wzajemnej pomocy, w wymianie literatury, organizowaniu spotkań itp. Wojna i nienormalny okres powojenny stłumiły ożywioną działalność „Unimy”. Niedawno jednak cichutki głosik lalek dotarł znowu do uszu tzw. „czynników mogących”. Belgia zapowiedziała na rok 1958 międzynarodową wystawę teatrów lalek (zaproszono i

dzisiaj mamy sporo do nadrobienia, jako iż nasze — niewątpliwie ciekawe — osiągnięcia mało są za granicą znane. Mamy też i inne grzechy na sumieniu. Nasze lalki — tak się dzieje np. w „Marcinku” — są po przedstawieniach sprzedawane zespołom amatorskim albo niszczą się w ciemnych magazynach. A tymczasem „Międzynarodowe Muzeum Zabawki” w Turyni posiada wspaniałe zbiory z całego świata, a w Państwowym Zbiorze Lalek w Dreźnie znajdują „schronienie” wszystkie te lalki, które już grały w kraju i za granicą.

Obserwacje i porównania dotyczące samej sztuki kukiełkarskiej wcale nie są dla nas żenujące. W Czechach lalkarstwo to sztuka narodowa, bardzo stara, ale te odległe tradycje krepują nieco śmielsze, nowatorskie poszukiwania. Czeskie lalkarstwo jest bardzo tradycyjne, konwencjonalne i nastawione na nieco łopatologiczną dydaktykę. U Niemców zachwycą oczywiście technika zarówno w wykonaniu kukieł jak i w samym ich „ożywianiu” na scenie. Nasze kukiełkarstwo ocenia się jednak bardzo wysoko pod względem plastyki, poetyczności i fantazji ogólnej wizji scenicznej.

O tym, że teatr kukiełek, to nie tylko rozrywka dla dzieci świadczą najlepiej kapitalne przedstawienia Jareków w krakowskiej „Grotesce” — słynne „Igraszki z diabłem” lub „Orfeusz w piekle”. W Czechach próbuje się wystawiać opery lalkowe np. „Hycynt i Apollo” — Mozarta; ponoć Molier wypada w teatrze kukiełek bardzo dobrze...

Być może, że wkrótce i my zaczniemy nasze laleczki szanować (tak jak tego uczymy nasze pociechy!) W Poznaniu przygotowuje się wystawę kukiełek, związaną z 10-leciem pracy Ireny Pikiel. Na nią to właśnie strojono m. in. Świteziankę z Mickiewiczowskich ballad. Może i inne wysłużone na scenie jawajki, pacyнки i marionetki doczekają się spokojnej starości w jakichś salach wystawowych, może nawet muzeach?

Aha, nie wiecie jeszcze pewno (a ja już wiem!) czym się różnią jawajki od pacynek. Otóż jawajki — najbardziej u nas rozpowszechnione — to „lalki tragiczne”, doskonale odtwarzające wszystkie dramatyczne sytuacje dzięki drutom przyklepionym do ich rąk i umożliwiających tzw. szerokie gesty. Marionetki — to kukielki na nitkach, bardziej ruchliwe, nadające się doskonale do przedstawiania wszelkich komicznych, satyrycznych efektów. Pacynki poruszane za pomocą palców aktora.

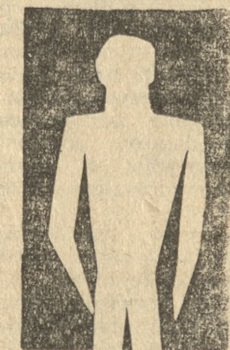
Pierwszą lekcję „lalkoznaństwa” mamy już zatem poza sobą. W imieniu wszystkich „stuchaczy” serdecznie dziękuję „profesorowi” Leszkowi Prorokowi za wykład i solennie obiecuję nie traktować „Marcinka” jak dzieciaka.

Buż! Marcinku... to jest, chciałam powiedzieć — do zobaczenia panie Marcinku!

Wanda CHILA



„Orfeusz w piekle” — Offenbacha i Góczyńskiego — wystawiony w 1957 roku w krakowskiej „Grotesce” — stał się wydarzeniem artystycznym dużej wagi



się w innym świecie. Za oknem był deszcz i wiatr, tu otaczało mnie światło spływające z wiszącej w suficie żarówki. Odetchnąłem z ulgą. Wszystko było jak zawsze: rządami stojące, białe nakryte stoliki, bufet i oszklone drzwi. Zająłem „moje” miejsce — przy oknie po prawej stronie. Kelner nadzwyczaj uprzejmy podał mi duże jasne. Płaszcz rzucony na krzesło, ułożył się w kształt zielonego potwora, patrzącego łakomie na moje piwo. Przechyliłem do ust odbijające w sobie światło naczynie, zimny gorzkawy płyn wypełnił usta.

W gładkiej glazurze szkła zabarwionego na żółto, widziałem maleńkie, o wydłużonych nadmiernie nogach stoliki i siedzących przy nich ludzi o maleńkich jajowatych głowach. Wszyscy byli chudzi niemilosierdzie i poruszali się w mojej szklance jak w miniaturowej ścianie śmiechu. Na chwilę przysłonił ich czarny długi ołówek, zajmując trzy czwarte wysokości szklanki.

MINIATUROWA ŚCIANA ŚMIECHU

Stopniowo zaczął się oddalać — u góry pojawiła się jajowata głowa. Kiedy stanął w końcu sali spostrzegłem w jego ręku niewielki piatek stokrotki — zrozumiałem, że to kelner a ów piatek — to serwetka. Uśmiechnąłem się. Zabawa zaczęła pochłaniać mnie coraz bardziej. Wydużone kreski w różnorodnych kolorach, kiwające się, pochylające male jajowate główki. Moich dochodziły głosy niewspółmierne silnie do maleńkich ciałek poruszających się przed oczami. W pewnej chwili doszły mnie słowa rozmowy wybijające się ponad wrzawę. Mówiła kobieta, głos jej miał brzmienie skrzypiec.

— No i co teraz będzie ze mną? — w pytaniu wyczułem trwogę i prośbę zarazem. I po chwili pauzy znowu:

— Zlituj się nade mną, tak cię kochałam, wierzyłam, a ty... —

Głos jej zalał mi się i zaginał wśród powodzi innych. Przebiegłem wzrokiem moją miniaturową ścianą śmiechu. Do kogo można by dopasować te miękkie, pełne wyrzutu wyrazy?

Zacząłem przypominać sobie, jak to wyglądało normalnie w rzeczywistym świecie. Wydało mi się nierealne, by taki świat w ogóle istniał, ale zaryzy-

Pasek w spódnicy

Serce i sympatie Polaków dla pamiętnika zyskał żyjący w wieku XVII Jan Chryzostom Pasek, którego perypetie od czasu publikacji ich drukiem w ubiegłym stuleciu cieszą się nieustannym powodzeniem wśród czytelników, a Henryka Sienkiewicza sprostowały do stworzenia niezapomnianej sylwetki Zagłoby. „Cóż by to była za gratka — wzdychał sobie niejeden z rliłowników dawnych i nowszych pamiętników — gdyby można było odnaleźć kogoś w rodzaju kobiecego odpowiednika znakomitego Paska, pisarki obdarzonej podobną jejmu chwytylnością pamięci i wyobraźni, a jeszcze większą (właściwą swojej płci) ciekawością świata i ludzi i do tego — równie typową — gadatliwość...”

I oto temu tajemnemu życzeniu uczynił niedawno zadość znakomity znawca pamiętników staropolskich, wykładający na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, prof. dr Roman Polak — wydając nakładem krakowskiego Wydawnictwa Literackiego „Proceder podróży i życia mego awantur” Reginy Salomei z Rusieckich Pilsztynowej.

Ów Pasek w spódnicy jest wprawdzie młodszym od swego męskiego protagonisty, żyje bowiem i działa w wieku XVIII, nie ustępuje mu jednak w niczym bogactwem i atrakcyjnością biografii, a nawet — w pewnych partiach przynajmniej — talentem gawędziarskim. Była to niewiasta do prawdy niezwykła, potrafiąca nie tylko strzelać z krucicy i nie tracąc nigdy przytomności umysłu w różnych przeciwnościach losu, a co najważniejsze parająca się — według jej zdania — skutecznie leczeniem ludzi, a nawet uważająca się za „doktorkę medycyny i okulistkę”. A jej podróże nie ustępują w niczym Paskowym peregrinacjom do Danii: widzimy ją w Stambule, Kijowie, Karyntii, Lublanie i w Wiedniu!

Pełno w pamiętniku Pilsztynowej nie tylko opisów praktyk lekarskich w rodzaju aplikowania pacjentom syropu fiołkowego pomieszanego z chrząszczami „z wielkimi rogami”, ale i wszelakich sensacji awan-

turczo-miłosnych — była to bowiem kobieta niezwykle temperamentu. Dwukrotnie za mężna, przeżywająca nieładną kłopoty ze swymi załotnikami, na przemian zakochana i pomstująca srodze na niedawne obiekty własnych uczuć — nadałaby się Pilsztynowa na bohaterkę niejednego romansu historycznego. Przy tym wszystkim była to kobieta nie czyniąca ujmy opinii o swej płci posiadającą wrażliwość i uczuciowość, sercem czułym na ludzkie sprawy i niedole: od czasu do czasu wśród rubasznych opisów odzywa się nutka z lekką sentymentalną.

Jan Chryzostom potrafił rozdać każde wydarzenie, w którym bierze udział, do rozmiarów nieledwie epopei, autorka „Procederu podróży i życia mego awantur” jest bardziej lakoniczna w narracji i przekłada opis faktu nad jego literacką interpretację i... koloryzację. Toteż pamiętnik Pilsztynowej jest w dużej mierze rejestrem anegdot, w mniejszej zaś to — świadectwem obyczajowości i kultury swoich czasów; po prostu mnogość spraw i wydarzeń, w jakich brała udział, przytłumia jak gdyby często sprawność zmysłu obserwacyjnego interesującej mimo to pisarki.

Cóż zatem wypada zrobić na zakończenie omówienia „Procederu podróży i życia mego awantur”? Podziękować prof. Polakowi i Wydawnictwu Literackiemu oraz prosić o ciąg dalszy, którym może dla odmiany i dla wygody tutejszych badaczy literatury staropolskiej zaopiekowałoby się Wydawnictwo Poznańskie.

Zbigniew PEDZIŃSKI



Wielkim zainteresowaniem cieszy się bardzo starannie przygotowana wystawa prac Aleksandra Orłowskiego w Krakowie. Doskonała, wyczerpująca informacja w postaci katalogu. Poznańskie Muzeum również dostarczyło eksponatów.

Kim był Orłowski?

Żył w okresie romantyzmu (1777—1832). Uważany jest za malarza polskiego i rosyjskiego. W Polsce pozostawał pod wpływem Norblina. Sporo obrazów związanych jest z powstaniem kościuszkowskim. Powtarzają się tematy kosynierów, sceny batalistyczne, biwakowe, rzeź Pragi. Dalej — portrety, na przykład Kościuszki. Ale Orłowski — to przede wszystkim rysownik.

Mickiewicz — który go poznał w Petersburgu — tak ocenia Orłowskiego:

nasz malarz Orłowski

miał gust soplicowski.

Lubił ciągle wspominać swej

mlodości czasy

Wysławiał wszystko w Polsce:

ziemię, niebo, lasy.

Jednak chyba trafniej Orłowskiego ocenił Puszkina:

Bierz twój szybki ołówek

Rysuj Orłowski — noc i bój...

Na okres rosyjski przypadają najdojrzalsze lata Orłowskiego — rozszerza się tematyka jego twórczości. Zwraca uwagę szereg obrazów poświęconych niedoli włościan, przesiedleńców, katorżników, żebraków. Wyróżniają się świetne studia koni. Typowe dla romantyka zainteresowanie. Wschodem przejawiało się w przedstawianiu typów Baszkirów i Kirgizów, których poznał w czasie kampanii 1812 roku.

Wystawa pokazała zdumiewającą zdolność obserwacji życia i wszechstronną twórczość Orłowskiego. Była odkryciem znakomitego, niezbyt u nas znanego malarza.

Na zdjęciu — autoportret artysty (r. 1809).

W. J. MIĘRZYŃSKI

A. M.

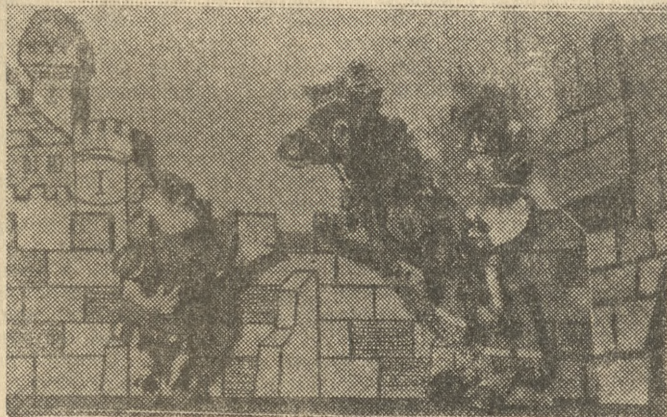
Kukla Fausta — dzieło rzeźbiarza Theo Eppinga. Sztuka wystawiona w teatrze Maksa Jacoba w Hamburgu



Marionetki angielskie — „para brazylijska”



Pierino — laleczka z baletu Prokofiewa „Piotruś i wilk”, wystawianego we włoskiej „Opera del Burattini”



A oto scena z przedstawienia praskiego teatru S. H. założonego przez nieżyjącego już Józefa Skupę

Została też wcześniej zaciągnięta na służbę władców państw i możnych, a jej pracownicy uważani byli często za czarodziejów.

Przymierzali kapłani, a obok nich garstka ludzi z tzw. wyższych sfer. Ograniczenie nauki do nielicznego grona wybranych i „utożsamienie jej z klasami rządzącymi i wyszukującymi — jak stwierdza J. D. Bernal — już od zarania istnienia podziału klasowego (który powstał przed pięcioma tysiącami lat, wraz z powstaniem pierwszych miast), zrodziło głęboką nieufność do nauki i wiedzy książkowej w ogóle i umiastych chłopów, a w mniejszym stopniu także u klas pracujących. Wysilki uprawiających filantropię filozofów, mogły być przepojone najlepszą wolą, jednak lud uważał, iż w praktyce prowadzi one do zmian, które nie tylko nie przyniosłyby mu nie dobrego, ale najprawdopodobniej zakłóciłyby go w cięższą jeszcze niewolę lub pozbawiły go pracy. Ten pogląd przetrwał aż do schyłku epoki klasycznej, kiedy nastąpiło masowe ludowe, często w przymierzu z religią, skierowane było w sposób zacięty, a niekiedy i gwałtowny, przeciw filozofom, uważanym nie bez pewnej słuszności, za przedstawicieli interesów wyższych klas zniechęconego Imperium Rzymskiego. W wiekach średnich nauka była tolerowana, lecz nawet po jej odrodzeniu, to samo nastawienie mas znalazło wyraz w niszczeniu maszyn za czasów rewolucji przemysłowej np. ruch luddystów w Anglii.

Minione epoki nazywamy mianem materiału czy tworzywa, które dominowały w zakresie zaspokajania potrzeb życia codziennego, np. epoka kamienia, żelaza, dalej wiek pary i elektryczności. Obecny zaś wiek zaczynamy nazywać epoką atomu.

Etnosocjologia, odkrywając dzieje ludów pierwotnych, pokazuje m. in. sposób wykonywania przez człowieka pierwszych narzędzi i sprzętów, mających zaspokoić jego potrzeby. I tak z drzewa została zrobiona pierwsza jak najbardziej prymitywna maczuga, czerpak czy miska, później zaś zostały one wydoskonalone, powstały też poczęły coraz nowe pomysły, wynalazki, ulepszenia. Sprawności tedy techniczne, inżynierskie zdają się być poprzednikami sprawności naukowych — technika wyprzedziła naukę. Nauka — jako sposób logicznego obserwowania zjawisk i zdarzeń oraz wyprowadzania wniosków — służyła technice, szła za nią i ulepszała ją.

NIE ZNOSI PRÓŻNI

Również i w czasach nowożytnych nauka i naukowcy uzależnieni byli w swoich badaniach od szefów państw, od przemysłowców, od sztabów wojskowych. Wykonywali w zasadzie — o ile się tak wyrazić wolno — swój zawód w zależności od życzeń, poleceń i dostarczanych środków materialnych tych, którzy kierowali społecznościami; byli więc naukowcy w swej masie pracownikami zależnymi, nie wolnymi.

Ostatnio jednak nauka zaczęła szerokie kregi. Naukowcy zdobyli nie tylko wysokie i bardzo specjalistyczne kwalifikacje, ale prawem przy ciągania, społecznymi i obiektywnymi wartościami prawdy, faktycznie zawarli między sobą sojusz mózgów i urosło do takiej siły rzeczowej i liczebnej — że wyzwalili się z zależności od kogokolwiek i zaczęli nadawać ton organizacji życia zbiorowego — chociaż chwilowo jeszcze tylko pośrednio. Poczęli też — praktycznie rzecz biorąc — kierować cywilizacją i kulturą. Nauka przełamała bariery monopolu i otworzyła swoje podwoje, szeroko u nas, a jeszcze dość wąsko w państwach kapitalistycznych — wszystkim ludziom, zależnie od stopnia ich uzdolnienia.

sprawdzały procent pracy naukowców został wprężony raczej w służbę niszczycielskiej techniki wojskowej. I dla tego też trzeba, aby wynikami badań, oraz pracą i życiem naukowców zaczęła się interesować cała ludzkość, wszystkie społeczeństwa.

Im wyższy bowiem i powszechniejszy poziom oświaty ogólnej i zawodowej w społeczeństwie tym łatwiej w nim pracować i rozwijać się naukowcom, tym bardziej też oni są ze społeczeństwem związani i od niego uzależnieni.

Jak jest w Polsce?

Naukowcy nasi, zarówno w przeszłości, jak i obecnie, przynajmniej w pewnym procencie i w niektórych dyscyplinach, sięgają wyżym współczesnej nauki w skalę światową. Nie ma jednak u nas ani właściwego pomostu pomiędzy społeczeństwem a naukowcami, ani odpowiedniego bodźca szybkiego podniesienia oświaty ogółu społeczeństwa. Ponieważ zaś nauka nie jest tylko idea, ale konkretną ludzką działalnością, tak długo nie będzie dobrze, dopóki dwudziestoletni robotnik niekwalifikowany będzie zarabiał więcej niż np. nauczyciel, jako pierwszy czynnik, upowszechniający oświatę wśród ludu.

IZOHELIA

Przyjrzyjcie się zamieszczonej obok reprodukcji. Fotografia czy drzeworyt? Prawda, że o pomyłkę nie trudno? Kontrastowe, białe-czarne płaszczyzny, obraz sprowadzony do najprostszyc elementów — wszystko to sprawia na widzu wrażenie, iż ma do czynienia raczej z techniką graficzną...

Wtajemniczeni w arkana sztuki fotograficznej zapewne już odgadli, że reprodukuje zdjęcie, wykonane metodą izohelii. Metoda to nie nowa, bo obchodząca niedawno 25-lecie swego istnienia, ale też niezbyt rozpowszechniona. Jest ona bowiem dosyć trudna technicznie, wymagająca dużego wkładu pracy i doskonałego opanowania rzemiosła.

Wynalazł ją w 1932 roku Polak — prof. Witold Romer (obecny profesor Politechniki Wrocławskiej). Izohelia eliminuje półtony, zbędne drobne szczegóły — tzw. „rozgadanie” fotografii i tym samym nadaje jej specyficzny, bardzo wymowny wyraz. Słowem — zmusza odbitkę, by chwyciła tylko to, co jej fotografujący każe.

Niedawno w Katowicach otwarto międzynarodową wystawę prac fotograficznych, wykonanych metodą izohelii. Zgromadzono na niej 81 obrazów z 6 krajów. Tą samą metodą można — jak się okazuje — osiągnąć zupełnie odmienne efekty i wyniki, zależnie od indywidualności i sposobu interpretacji autora. Na wystawie zwracają uwagę kapitalne portrety Roosimowa (Bułgaria) prace Ralpa Aubrey (Anglia) i K. Grimma (Niemcy).

Pośród nagrodzonych znaleźli się również Polacy. Seweryn Blochowiec, Kazimierz Czobaniuk, Henryk Derczynski, Leonard Idziak, Jan Klepuszewski oraz Bronisław Kupiec (praca pt. „Portret profesora H. K.”, której reprodukcję zamieszczamy).

opr. WAN

Przeciw nadciśnieniu

DWÓCH LEKARZY, Robert W. Wilkins i W. Hollande z Bostonu (USA) ogłosiło wyniki prac prowadzonych od lat nad wynalezieniem skutecznego leku przeciwko nadciśnieniu. 51 osób, cierpiących na nadciśnienie, otrzymywało od nich lek „chlorothiazide”. Były to oczywiście badania doświadczalne; jak dotychczas nie wiadomo, jakie składniki wchodziły do tego nowego specyfiku.

Pierwszy czy drugi szczyt Ameryki?

W numerze 7 „Nowego Świata” pojawił się artykuł p. Andrzeja Treplki, przypominający głośną przed dwoma z górą laty sprawę ponownego zdobycia andyjskiego kołosa — Nevado Ojos del Salado. Pierwszego wejścia na ten szczyt dokonali, jak wiadomo, Polacy. Najnowsze pomiary miały wykazać, że szczyt ma 7100 metrów wysokości i jest wobec tego najwyższym szczytem Ameryki i jednocześnie najwyższym wzniesieniem poza Azją. Jak było naprawdę?

Łańcuch Andów rozciąga się na przestrzeni około 9.000 km wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Ta olbrzymia kraina, obejmująca 3,5 miliona km kw. jest do dziś bardzo słabo znana. Wiele białych plam pozostaje nadal na mapach, wiele też danych topograficznych jest błędnych. Kilka takich białych plam wymazały dwie polskie wyprawy andyjskie w latach 1933/34 i 1937. Dwaj uczestnicy drugiej wyprawy — J. A. Szczepański i J. Wojsznis — zdobyli m. in. Nevado Ojos del Salado. Wysokość jego zmierzona została już wcześniej przez znanego kartografa chilijskiego, Riso Patrona, metodą trygonometryczną. Wyokość ta wynosiła 6.870 m. Polacy pomiarów nie dokonali, nie mając potrzebnych do tego instrumentów.

W roku 1955 wyprawa argentyńska pod kierownictwem Orlando Bravo dokonała rzekomo drugiego wejścia na szczyt. W rok później powtórzyć miała ten czyn wyprawa chilijska, dowodzona przez płk. Renę Gajardo. Uczestnicy tych wypraw, dokonawszy pomiarów szczytu przy pomocy aneroidu, stwierdzili, że jego wysokość wynosi około 7100 metrów. Co ciekawsze, obydwie wyprawy nie znalazły na zdobytym szczyście żadnego śladu bytności Polaków, którzy przecież zostawili tam wysoki kopczyk kamienny i puszkę z wyciskami. I jeszcze jedno: Argentyńczycy widzieli w niedużej odległości od „swojego” szczytu górę jeszcze wyższą!

Także w roku 1956 działala w Andach wyprawa austriacko-szwedzka. Jej uczestnik, znany alpinista Matthias Rebichs, zdobył Ojos del Salado, i, o dziwo, znalazł na jego szczycie polski kopczyk i puszkę z wyciskami. Nie było natomiast śladu po Argentyńczykach i Chilijskach.

Zagadkę tę rozwiązuje Witold Paryski, uczestnik polskiej wyprawy i jeden z najlepszych w tej chwili na świecie znawców problemów andyjskich.

Grupa Nevado Ojos del Salado składa się z kilku wierzchołków. Ponadto na niektórych mapach nazwa ta określa ny bywa sąsiedni masyw — Nevado Gonzalez (inaczej — Nevado Penck), oddalony od głównego wierzchołka Ojos del Salado o około 10 km. Na Nevado Gonzalez weszli zapewne Argentyńczycy i z niego widzieli właśnie główny wierzchołek Nevado Ojos del Salado. Chilijszczy byli najprawdopodobniej na jednym z niższych wierzchołków Ojos. Re-



Teren działalności II polskiej wyprawy andyjskiej (podkreślono wysokości zdobytych szczytów).

bitsch tylko zdobył szczyt właściwy.

I wreszcie kwestia pomiarów. Wyprawy z lat 1955 i 1956 dokonywały pomiarów nie metodą trygonometryczną, ale przy pomocy aneroidu (altimetru), a więc sposobem o wiele mniej pewnym i precyzyjnym. Różnice we wskazaniach aneroidu dochodzą nieraz do kilkuset metrów.

Tak więc nie ma (niestety) podstaw, aby uważać Nevado Ojos del Salado za najwyższy szczyt Ameryki. Potwierdzają to sami uczestnicy wyprawy polskiej — W. Paryski (por. „Taternik” nr 3/4 1956) i zdobywca szczytu — J. A. Szczepański (por. jego książkę pt. „Wyprawa do księżycowej ziemi”, wyd. II — 1957).

Na koniec kilka drobnych nieścisłości w artykule p. Treplki. „Najnowsze dane” dotyczące wysokości Everestu nadal mówią o wysokości 8882 m a nie 8842 m. Polacy zdobyli Ojos del Salado 26. a nie 6 lutego 1937 r. Punktem wyjściowym była baza główna w Tres Quebradas, położona na wysokości ponad 4000 m n. p. m. Wreszcie ze szczytu Nevado Ojos del Salado tylko w marzeniach zdobywcy widzieć mogli „na wschodzie zielony kobierzec dżungli, na zachód — szmaragdowa tafla oceanu”. Naprawdę widzieli tylko góry i góry. „Widok przestrzeni — pisze Szczepański („Wierchy” — 1937, s. 123) — o fantastycznych rozmiarach, której pustka i martwość dodawały, nawet w południowym słońcu kłębiły się grozy, ogrom nieba, gór, śniegu, dolin, pustyni, wysokości i słońca.”

Antoni GĄSIOROWSKI

CZYM JEST NAUKA?

Einstein, rozważając definicję nauki, określił ją, jako „coś co istnieje w postaci skończonej, stanowi najobiektywniejszą ze znanych ludziom rzeczy. Ale nauka w procesie powstawania, nauka jako cel poszukiwań jest w równym stopniu uwarunkowana subiektywem i psychologicznie, jak każda inna dziedzina ludzkiej działalności — tak dalece, że na pytania, na czym polega zadanie i znaczenie nauki? można otrzymać najzupełniej odmienne odpowiedzi w różnym czasie i od różnych ludzi.

Czym jest nauka — łatwiej zrozumieć, analizując metody pracy przez naukowców stosowane.

Naukowiec, zwłaszcza przyrodnik, pracę swą rozpoczyna od obserwacji faktu, od jego analizy, od wniosków w naturę badanego zjawiska, przedmiotu czy zebrane go materiału, po czym, drogą stosowania przyjętych i przez ogół naukowców już ustalonych środków czy instrumentów, zależnie od charakteru dyscypliny, przechodzi do doświadczeń, eksperymentów, obliczeń, porównań, sprawdza, by wreszcie dojść do syntezy, której zewnętrznym wyrazem jest wypowiedzenie twierdzenia, przeczenia lub przypuszczenia. Naukowiec, przystępując do pracy, nie krepuje się żadnymi ustaleniami; toteż zdarza się, że w wyniku nowych, samodzielnych badań, obala tezę, która dotąd uważano za prawdziwą. Obalając ją, stawia nową tezę i otwiera pole w danej dziedzinie do nowych, czasem rewolucyjnych odkryć. Takim wydarzeniem było np. dzieło Kopernika, Marli Skłodowskiej-Curie. Niemniej istnieje jedność nauki, jedność metodyki i systematyki badań; uczeń, opierając się o dotychczasowe wyniki badań, współpracując z sobą, kontynuuja i wzbogaca to, co się wie mądrością wieków i postępuje. Tę jedność, ciągłość i wspólnotę widać zwłaszcza w naukach przyrodniczych, w których ostatnio uczeni doszli do fenomenalnych osiągnięć i, przez które wzięli w swoje ręce losy świata.

O ZAINTERESOWANIE SPOŁECZEŃSTWA

Precyzja badań naukowych osiągnięta dzisiaj wprost nieprawdopodobnie doskonałości, a stosować przebogata aparaturę pomocy naukowych uczeni mogą już w krótkim czasie dojść do nowych, fantastycznych odkryć. Szkoda tylko, że nie-

Uczyć młodzież kultury bycia

Każdy nauczyciel, szczególnie w środowisku wiejskim, ma możliwość obserwacji bardzo ujemnego zjawiska wśród młodzieży, opuszczającej mury szkoły. Wiem z własnego doświadczenia, jak trudno pociągnąć tę młodzież do pracy w kółku scenicznym, chórze, zespole sportowym, czy nawet dokształcaniu zawodowym. O wykładach historii na Uniwersytecie Powszechnym nie chcą słyszeć, mimo że nudzą się wieczorami w domu lub „rzną w 66”.

By temu zapobiec nie wystarczy z pewnością obciążać ich pamięć „wiadomościami natury encyklopedycznej” o Leonardo da Vinci, Matejce itp.

Dlatego rzucam myśl, by wprowadzić do szkół podstawowych lekcje, które oprócz nauki kultury bycia, wytwarzałyby w uczniu pragnienie pracy dla drugich, dla środowiska. Można tu sięgnąć do życiorysów wielkich społeczników, jak np. Staszica czy Marcinkowskiego.

Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że nie wszyscy nauczyciele potrafią pięknie i zajmująco mówić. I tu tkwi trudność, jednak przy dobrej woli wiele można zrobić. Naprawdę warto.

Stefan PLUCIŃSKI

Do Redaktora

Michała Misiornego

Muszę Panu na wstępie donieść, że ujał mnie Pan zrozumieniem trudnej roli, jaką spełniają nasze teatry obywatelowe — pisząc artykuł pt. „Melpomena nie zna odpoczynku” („Nowy Świat” z dnia 26/27 i 1958 r.). Zaskoczyły mnie jednak Pańskie uwagi pod adresem trzech teatrów obywatelowych poznańskich „Estrady”. Zgodził się Pan ze mną, że słuszna jest praktyka, stosowana przez cały szereg zasłużonych naszych dziennikarzy omawiania, komentowania czy wręcz krytykowania rzeczy uprzednio przez siebie zbadanych.

W wypadku przedstawienia teatralnego, wyraża się ta zasada tym, że krytyka poprzedzona jest obejrzeniem przedstawienia. Korzystanie z wiadomości z tzw. drugiej ręki, nigdy nie przynosi pożytku sprawie. Mimo woli wyraża Pan skrywdę naszym akto-

DYSKUSJA i polemiki

rom, którzy w dobrej wierze i nie szczędząc poświęceń, docierają ze swoimi przedstawieniami do najgłębszych zakątków naszego województwa. Byłoby nam bardzo miło, gdyby Pan zechciał obejrzeć nasze przedstawienia w terenie. Służymy środkiem lokomocji...

Z poważaniem

Jan PERZ
kierownik artystyczny PPIE
reżyser Teatru Polskiego
w Poznaniu

Do Pana

Jana Perza

Kierownika Artystycznego PPIE
Reżysera Teatru Polskiego

List Pański, będący reakcją na mój reportaż o gnieźnieńskim Teatrze, dzięki uprzejmości redakcji dotarł do mnie. Bardzo mi przykro, że oceniał negatywnie działalność teatralną PPIE, pośrednio dotknął również Pana.

Do meritum sprawy pozwolę sobie dorzucić jedno drobne wyjaśnienie: gdybym istotnie pisał recenzję albo sprawozdanie z przedstawień „Estrady” — list Pański byłby w zupełności słusznym i potrzebnym sprostowaniem. Ja jednak, pisząc o teatrze Al. Fredry, jedynie ubocznie interesowałem się społecznymi skutkami działalności PPIE, na podstawie tych skutków wnioskując kolejno o kształcie przychodzą. Wnioski te okazały się niewiśnię.

Po wydrukowaniu mego reportażu w „Nowym Świecie” przeczytałem w tygodniku społ.-literackim „Orka” (nr 5 albo 6) podobną ocenę PPIE Poznań.

Na zakończenie pragnę dodać, iż wszystko to nie znaczy, że imprezy PPIE Poznań nigdy nie oglądałem. Oglądałem, nawet sporo.

Łączę wyrazy prawdziwego dla Pana poważania, zapewniając jednocześnie, że z zaproszenia chętnie skorzystam.

Michał MISIÓRNY

O prawo do obiektywizmu

W nr. 39 „Gazety Poznańskiej” w artykule „Dwa razy to samo” p. Maciej Maria Kozłowski zabrał głos, jak sam pisze, „na marginesie” przedostatniego numeru „No-

wego Świata”, a to w związku z ogłoszonymi w nim artykułami: p. Janusza Sauera pt. „Kraków leży nad Styksem” i moim pt. „O egzystencjalizmie — bez zachwyty i wstrętu”. Polemista pisze między innymi:

„Sądziłem, że polska moda na egzystencjalizm spójniona i spłycona najczęściej do faktury zewnętrznej, zemrze śmiercią naturalną — jak to zwykle z modą bywa. Tymczasem z chwila, gdy z jednej strony pojawiła się część kpiarska i wydrwiwiająca niż rzeczowa jej krytyka, to z drugiej strony w roli antidotum pojawiły się fachowe, pseudonaukowe artykuły nieco mądrzejszych wyznawców filozofii egzystencjalistycznej. Owi medrzy krytykują płytkość polskiego egzystencjalizmu, usiłują za wszelką cenę pogłębić go. Ta najczęściej utajona obrona egzystencjalizmu budzi niesmak i odrazę.”

Nie zatrzymuję się tu nad epitetem „pseudonaukowego”, nieco mądrzejszego wyznawcy” egzystencjalizmu, zwłaszcza, że egzystencjalizm wcale obojętnie mnie nie pociąga. P. Kozłowski jest czło wiekiem jeszcze bardzo młodym, można więc tylko ubolewać, że w przeciwstawności metod oceny zjawisk przedstawili dwóch różnych pokoleń sięga aż do takiej broni. Tylko więc z uwagą na mych Czytelników pozwalam sobie tu na winne im wyjaśnienie, ponieważ nieumiejętność lub niechęć polemisty w odczytaniu linii mego artykułu może wprawdzie zamęt.

Nie podjąłem żadnej „utajonej”, niesmacznej i obraźliwej” obrony egzystencjalizmu, ale tylko próbę możliwie rzetelnej jego oceny, notując też jego sprzeczności zarówno z chrześcijaństwem jak i marksizmem. W mej „próbie bilansu” można stwierdzić, czy to istotnie polega na prawdzie. Pisałem tylko z pozycji obserwatora, który patrzy — „bez zachwyty i wstrętu”.

Kończąc mój artykuł, wyraziłem zasadę, by w ocenie zjawisk i faktów unikać „szturemowego rozgłosu i kampanii oszczerstw”. Żywiąc dla nich niesmak i odrazę, powiększyć oto muszę listę moich niechęci również o niechęć do wulgarności języka i sądów.

Dr Włodzimierz KRZYŻANIĄK

Trudno nam również zgodzić się z uwagami M. M. Kozłowskiego, wyrażonymi pod adresem reportażu J. Sauera pt. „Kraków leży nad Styksem”. Autor korespondencji pisał o „egzystencjalizmie” krakowskich brodaczy z Ironią, która — jak wiadomo — z „obroną” ma raczej niewiele wspólnego. Bardzo się cieszymy, że M. M. Kozłowski czyta „Nowy Świat”, szkoda tylko, że czyni to nieuważnie, co z góry przekreśla możliwość rzeczowej dyskusji. (Red.)



GDZIEŚ W POZNANIU



Rozbawiona gromadka młodzieży wpada do obszernego hallu, milknie i z zainteresowaniem obserwuje ulepione z gliny „arcydzieła” rzeźbiarskie. Kto to zrobił?

✱

Bajka jest — sądząc po minach — bardzo ciekawa. Igraszki krakowskiego smoka prze-rażają trochę małych słuchaczy, którzy za-siadają w bajkowo urządzonej sali baśni. Są takie sale w naszym mieście.

ALBERT HISTORIA dłakanoski

JAROGNIEWICE pod Kościo-
nem powstały w latach 1253—1400.
Czy nazwa ta nie pochodzi od ja-
ruk — jarug, słowa, oznaczającego
szczelinę, rozpadlinę? Zdaje się,
że została przyniesiona z Podhala.

JAROSZEWO, JAROSZYNY, JA-
ROSZEWICE — nazwy na pewno
od Jarosławów, czyli jadących tyl-
ko jarzyny.

JAŻWINY (powiaty: Kępno, Kro-
tośzyn, Kolo) — od jaźwica. Jaź-
wice — po staropolsku borsuk.

JAROSŁAWIEC, dawniej Jaro-
sławice, wieś pod Środą Wlkp., po-
wstała w XV—XVI wieku.

W czasie, kiedy Juliusz Słowacki
jechał pociągami do Berlina
(kwiecień 1848 r.), pruski generał
Willisen z jednej strony, a z dru-
giej — K. Libelt, Stefański, A. Ra-
doński i Garczyński, podpisali tu
konwencję, zgadzającą się na dzia-
łalność, chociaż ograniczoną, pol-
skich powstańców.

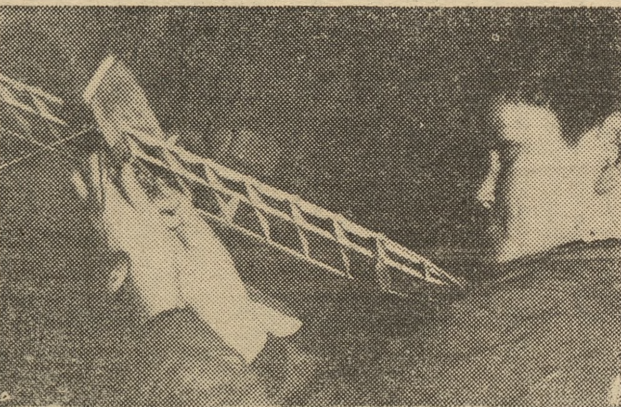
Gen. Willisen wykonał wówczas
polecenie przestraszonego wypad-
kami rządu pruskiego. Za to spot-
kało go dużo przykrości od mie-
scowych niemieckich szowinistów,
domagających się zupełnej likwi-
dacji powstania. Von Ober-Corn-
reuth pisał do niego, aby nie wa-
żył się przybyć do Czarnekowa —
gdzie „ludność niemiecka zowie-
psy jego nazwiskiem”. A Burchard
Stahl zaś tak kończył swój list:
„W końcu mogę dać zapewnienie,
że Pan posiadasz wiele miłości w
naszym obwodzie nadnoteckim, a
każdy dobrze myślący obywatel
codzień w modlitwie wyraża ży-
czenie, aby Wszechmogący umie-
ścił Pana jak najprędzej w Owia-
skich lub Szpandawie”.

Jak z tego widać, modlitwy też
mogą być szowinistyczne...

(J. P.)



Napięte na tamborku płótno pokrywa się ściegami ko-
lorowych nici. Powstają krzyżówki i linie faliste na ob-
wodzie serwetek i chusteczek. Będzie piękny prezent.
O zaferowaniu pracę świadczy spadający na oczy kos-
myk włosów, którego nie ma czasu odgarnąć. Czy to
zajęcia w szkole? Czy nauka pod okiem mamy?



Przyszli lotnicy pracują z nie mniejszą pasją. Dobra kon-
strukcja szkieletu modelu — to podstawa sukcesu w za-
wodach. Kto ich tego nauczył? Gdzie?

Wszystkie te sceny uchwycił fotoreporter w poznańskim
Młodzieżowym Domu Kultury, który odwiedza 1340 dzie-
ci. W 22 specjalistycznych pracowniach bawi się, uczy
i majstruje najczęściej młodzież szkół podstawowych.

Fot. (4) E. Kitzman

Rozwiązanie krzyżówki

z n-ru 9 „Nowego Świata”

Poziomo: 1 — tron, 5 — rozeta,
9 — fenomen, 10 — emir, 11 — ka-
roca, 14 — cokół, 15 — napar, 17 —
Eden, 19 — wał, 20 — kur, 22 —
silos, 23 — kapusta, 24 — Baran,
25 — PAP, 27 — set, 29 — gala, 30
— senat, 33 — kafar, 34 — aceton,
36 — znak, 37 — rotunda, 38 — A-
rarat, 39 — asan. Pionowo: 1 —
tlenek, 2 — oficer, 3 — Neron, 4 —
połów, 5 — rek, 6 — Onan, 7 —
Ezop, 8 — agar, 12 — rafia, 13 —
Caporal, 15 — ładunek, 18 — Du-
najec, 21 — Pan, 22 — sto, 23 —
karat, 25 — Parnas, 26 — parkan,
28 — tabun, 29 — gazda, 30 — sala,
31 — Nawa, 32 — tora, 35 — NOT.

Nagrody książkowe, przyznane
drogą losowania, otrzymują z Po-
znania: Przemysław Michałowski,
ul. Szczęśliwa 55 m. 2, Janusz
Sroka, ul. Kosińskiego 17a m. 8,
Damian Szymczak, ul. Przemysło-
wa 31 m. 5, Aurelia Sińska, ul. Si-
korskiego 33 m. 5 oraz Józef Paw-
licki z Kalisza, Zofia Wilgocka z
Krotoszyna i Konstancja Rekow-
ska z Gdańska. Zamiejscowym
nagrody prześlemy pocztą.



— Państwo macie rację, ten
na spadochronie to rzeczywi-
ście nasz pilot.

Podajemy zasady między-
narodowego zapisu brydzo-
wego („Contract Bridge”):

Partię (a także robra!)
„robi” 100 punktów pod
kreską. A więc trzeba wy-
grać 5 w kolorach młod-
szych (trefle i kara — po
20 p.) ew. 4 w kolorach star-
szych (kiery i piki — po 30
p.) bądź 3 bez atu (pierw-
sza lewa 40, następnie — po
30 p.). Przy „swojej grze”
skontrowanej pisze się 50
p. premii nad kreską (przy
rekontrze — również tylko

50 p.). Jest to tzw. kara za
nieudaną kontre.

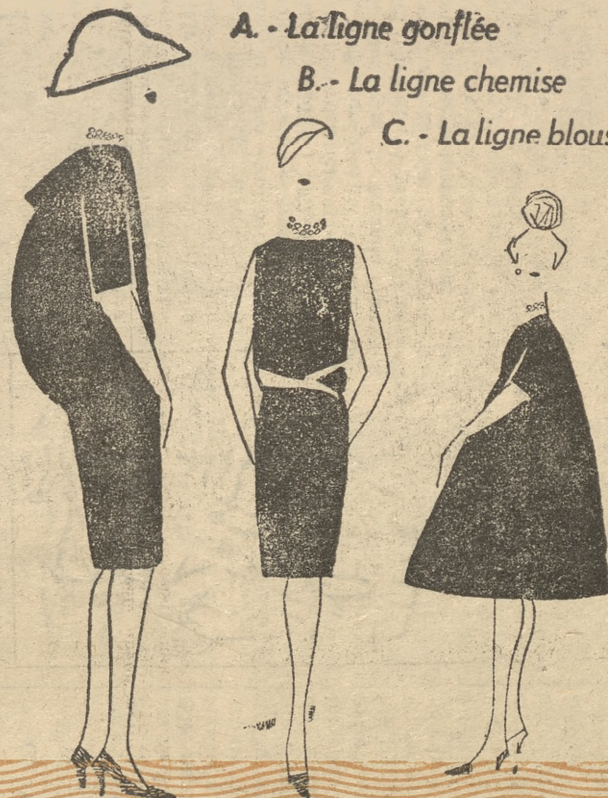
Nadróbki (zapis nad kre-
ską): tyle, co za lewy (tre-
fie i kara — po 20, kiery,
piki i bez atu — po 30 p.),
zarówno przed, jak i po par-
tii.

Wpadki (z kontrą i rekon-
trą): Przed partią: bez jed-
nej — 50 (100, 200), bez
dwóch — 100 (300, 600), bez
trzech — 150 (500, 1000) itd.
Po partii: bez jednej — 100
przed, a po 300 p. — po par-
tii (z rekontrą — podwój-
nie).

A. - La ligne gonflée

B. - La ligne chemise

C. - La ligne blouse



„LE ROI EST MORT — VIVE LE ROI...”



Styne to francuskie powiedzenie
odnosi się — jak widać — zarówno
do koronowanych, jak i niekorono-
wanych królów. Niedawno „piękna
połowa” społeczeństwa francuskiego
(i nie tylko francuskiego) oplakiwa-
ła śmierć współczesnego króla mody,
a już obecnie składa hołdy nowemu.
Umarł Dior — niech żyje Saint-
Laurent! Niech nam żyje i projek-
tuje choćby dlatego — wołamy z
głębi serca i my — że, sądząc po
jego ostatnich kreacjach, zamierza
on (spójrzcie na rysunek u góry)
zrezygnować z sukni-worka.

Następca Diora (21 lat) — nacker („Madame Raymonde”),
powinien w tej chwili odby-
wać służbę wojskową. Nieste-
ty, nie nadawał się do niej:
zadecydował wraz z Marcelem
odroczone go. Może, gdy przy-
bierze nieco na wadze... Lecz
i wówczas czynnik wojskowy
zastanowią się chyba, czy nie
lepiej przysłuży on się swemu
krajowi, ubierając piękne ko-
biety na całym świecie.

Przed trzema miesiącami
był jeszcze nie znany. Gdy po
zagraniczną jest pełna za-
śmierci Diora Raymonde Zeh-
chwyłów.

KAK BRIDZOWY

(800, 1600). Mówiąc inaczej
— każda wpadka przed par-
tią 50, po partii 100 punk-
tów, z tym, że wpadki kon-
trowane począwszy od dru-
giej liczą się po 200 p.
przed, a po 300 p. — po par-
tii (z rekontrą — podwój-
nie).

Premie (premie po partii):
licytowany szlemik 500 p.
(750), lic. szlem — 1000 p.
(1500). Uwaga — nie pisze
się kary za niezrobienie
szlemika czy szlema! Np.
lic. szlemik przed partią bez
jednej z kontrą — „kosztu-
je” tylko 50 p., z kontrą
100 punktów! Za zrobienie
partii — premia 200 p. Za
zrobienie robra — gdy prze-
ciwnicy nie mają partii —
700 p., gdy obie strony po
partii — 500 p. W wypadku
nieukończenia robra: za

partię — 300 p., za zapis
częściowy — 50 p.

Koronki: Przy bez atu —
za 4 asy 150 p., za 4 hono-
ry (przy grze w kolor) —
100 p., za 5 takich honorów
— 150 p. (wszystkie w jed-
nym ręku, koronek składa-
nych nie uznaje się!).

Przy okazji nadmieniamy,
że wkrótce w księgarniach
ukaze się tabelka do obli-
czania zapisów Contract
Bridge’a, przy pomocy któ-
rej grający będą mogli łat-
wiej dokonywać obliczeń.

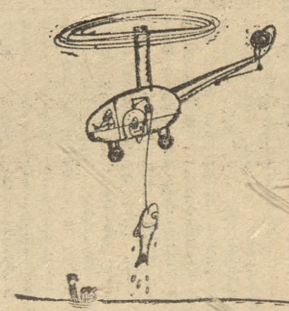


„Montparnasse 19” — taki tytuł nosi nakręcony nie-
dawno film prod. francuskiej, reżyserii Jacques Beckera
(twórca „Karola i Karoliny”). W rolach głównych filmu
występuje Gerard Philippe u boku Liti Palmer (na
zdjęciu). Akcja rozgrywa się w środowisku paryskiej
cyganerii.

Poważny „Manchester Guar-
dian” poświęcił Saint-Laurentowi
dwie wielkie szpalty, zatytułowa-
ne: „Wzruszająca i pełna triumfu
atmosfera u Diora!”

Połowa kreacji wśród demon-
strowanej kolekcji na inaugu-
racyjnej rewii była wyłącz-
nym dziełem Saint-Laurenta.
Druga połowa modeli, nosi na
sobie reminiscencje talentu
wielkiego poprzednika. Nie-
mniej całość rewii przy ave-
nue Montaigne jest dziełem
młodego twórcy — świetnego
i pełnego smaku architekta.

Opr. M. J.



Bez słów

UWAGA!

Ponieważ do lata jeszcze daleko, wieczory są długie,
a także popołudnia raczej nie nastrajają do spacerów
— proponujemy wszystkim naszym Czytelnikom wzięcie
udziału

W turnieju brydżowym parami

który zamierzamy zorganizować wkrótce w lokalach
naszej redakcji (ul. Grunwaldzka 19)

Udział w turnieju mogą brać wszystkie pary, nieza-
leżnie od wieku, płci ew. przynależności do klubu bryd-
żowego. Turniej ten organizujemy przy współpracy
Sekcji Brydża Sportowego Okręgu Poznańskiego. Dla
najlepszych par przewidujemy nagrody, przede wszy-
stkimi

Puchar przechodni na rok 1958

następnie dyplomy, a także inne upominki (np. nagro-
da dla najmłodszej pary, dla pary kobiecej itp.).

Szczegóły turnieju i kalendarzyk rozgrywek (zależny
zresztą od ilości zgłoszonych par) podamy później. Na
razie prosimy tych wszystkich, którzy mają ochotę sta-
nąć w szranki turnieju, aby odpowiedzieli na nast. py-
tania:

● czy proponowane przez nas dni rozgrywek (sobota
wieczór i niedziela) odpowiadają Wam?

● jakim zapisem chcielibyście grać (międzynarodowym,
czy polskim-plebiscytowym?)

Listy (zgłoszenia z podaniem nazwisk pary oraz adre-
su) prosimy kierować pod adresem Redakcji „Nowego
Świata”, Poznań, ul. Grunwaldzka 19, p. 66. Z dopi-
skim „turniej”. Im wcześniej napłyną zgłoszenia, tym
prędzej będzie można przystąpić „do boju”. Dalsze ko-
munikaty — na tej stronie, a także w „Głosie Wielko-
polskim”.

A więc — czekamy!



Pomyślowi

Z więzienia w San Francisco u-
ciekł jeden z pensjonariuszy i wę-
drował cały tydzień po mieście w
wieloletnich pasiach. Na pier-
siach i plecach nosił plakat z na-
pisem: „Zbiórka na zwolnionych
więźniów”. Podobno zebrał sporą
kwotę, nim policja zainteresowała
się jego personaliami.

Uprzejmości

Bileterzy filharmonii w Liver-
poolu rozdają bezpłatnie cukierki
przeciwdziałające kaszlowi, aby
słuchacze koncertu nie przeska-
dzali wykonywaniu utworu.

Żywy fant

Pewien szpital w Atlanta został
urządowo wezwany do wydania
trzytygodniowego dziecka rodzi-
com. Szpital przetrzymał nowo-
narodzoną pociechę, jako... fant.
Rodzice bowiem nie mieli czym
zapłacić kosztów leczenia.

Beethoven plaki

W Nowym Jorku miejskie mu-
zeum przyrodnicze posiada papu-
kę gwizdającą... utwory Beethove-
na. Ma ona wielu słuchaczy.